



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 276

tyczna.

VI.

KTO Z CZEGO ŻYJE?

Napisał

Szymon Dickstein.

Z przedmową i uzupełnieniami wydawców
oraz z portretem autora.

Wydanie

Przeglądu Socjaldemokratycznego.

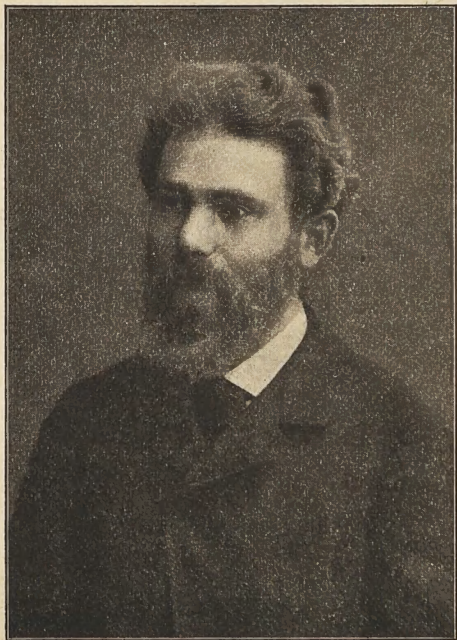
1903.

107

KOBOS TADEUSZ

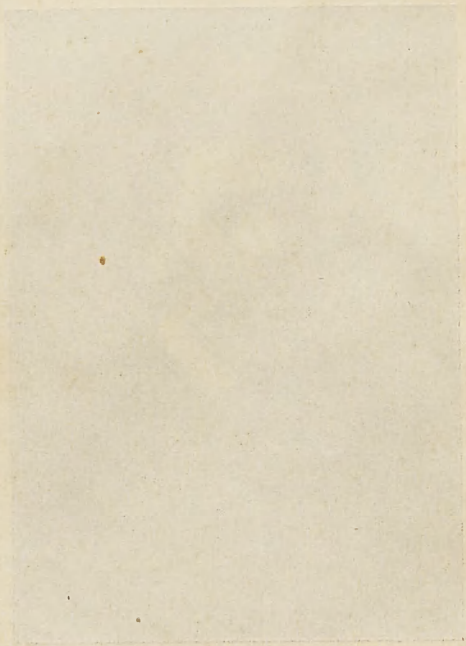
L. _____ / 101.





SZYMON DICKSTEIN

ur. 14 lutego 1858 r, um. 6 lipca 1884 r.



276

leg. 150.

Biblioteka Socjaldemokratyczna.

Rudolf Moszoro

VI.

KTO Z CZEGO ŻYJE?

Napisał

Szymon Dickstein.

Z przedmową i uzupełnieniami wydawców
oraz z portretem autora.



Wydanie

Przeglądu Socjaldemokratycznego.

1903.



Od wydawców.

Autor niniejszej broszury, Szymon Dickstein, znany robotnikom pod nazwiskiem Jana Młota, należał do grona tych, co pierwsi podnieśli w Polsce sztandar walki robotniczej, sztandar socjalizmu. Urodzony 14-go lutego 1858 roku, jako syn nauczyciela ludowego, ukończył w bardzo młodym wieku gimnazjum i rozpoczął studia na uniwersytecie. W owym czasie panował wśród młodzieży inteligentnej w Polsce wielki zapal do nauk przyrodniczych. Nauka genialnego Darwina o pochodzeniu człowieka z państwa zwierzęcego, która obalała religijne przesady, dotarła wówczas do naszego kraju, i Dickstein był jednym z tych, co tej postępowej nauce torowali drogę do umysłów. Już i wtedy celem jego życia była służba dla dobra wydziedziczonych i pracujących. Dickstein urządził kółka oświaty ludowej i starał się dzielić z robotnikami warszawskimi światłem wiedzy, które sam posiadał.

Ale przy rozległym umyśle i szlachetnym sercu zrozumiał rychło, że robotnikowi polskiemu

sama oświata przyrodnicza doli nie ulży. Zrozumiał, że właściwym źródłem biedy i ciemnoty ludu w Polsce, jak i na całym świecie, jest wyzysk kapitalistyczny. Toteż porzucił ukochaną przez siebie naukę przyrodniczą, aby się wraz z towarzyszami oddać pracy koło uświadomienia socjalistycznego robotników. Najprzód w Warszawie w kołach robotniczych, niebawem w prasie socjalistycznej, wydawanej zagranicą, dokąd zmuszony był się przenieść, pracował nad szerzeniem nowej ewangelji w naszym kraju i poświęcił tej sprawie całe swoje krótkie życie, — zmarł on bowiem już w 1884 r. 6-go lipca, zaledwie w dwudziestymśiódmyim roku życia.

Nad świeżą mogiłą Dicksteina w Genewie przemawiali licznie zgromadzeni socjaliści rozmaitych narodowości: rosjanie, francuzi, niemcy i polacy. W imieniu robotników polskich towarzysz A. Dąbrowski przemówił w te słowa:

„Jeżelibyśmy liczyli życie na lata, to rzeczywiście zmarły towarzysz Dickstein żył krótko, bardzo krótko; licząc zaś życie podług czynów, to zmarły żył bardzo długo, i pewno mało z obecnych tu żyło dłużej.

„Trudno wypowiedzieć stratę, jaką ponieśli przez śmierć Dicksteina robotnicy polscy, w imieniu których chcę tu przemówić.

„Pęknał Młot, którym proletarjat polski mógł rozbijać fałszywe nauki burżuazji — od zbytniego hartu chyba. To też ostre odłamy jego

będą na zawsze silną bronią w ręku robotnika polskiego.

„Żegnaj nam, żegnaj! Tyś dla nas nie umarł. Ty będziesz żyć wiecznie w sercu i umysłach naszych. A kiedy nadejdzie godzina czynu, Twoje myśli będą nam doń przyświecać.“

Zasługi Dicksteina względem polskiego ruchu robotniczego są dwojakie.

Po pierwsze starał się stworzyć literaturę dla zapoznania polskich robotników z ich położeniem w dzisiejszym społeczeństwie. Właśnie broszura „Kto z czego żyje?“, wydana już w 1881 r., stała się i jest do dziś dnia biblią dla robotnika, zapoznając go z samym jądrem nauki socjalistycznej. Broszura ta jest z taką jasnością i prostotą pisana, że przetłumaczono ją już na wiele języków, aby i w innych krajach służyła uświadomieniu klasy robotniczej.

Ale nie dość na tym. Nie mniejsze zasługi położył Dickstein koło sprawy wyzwolenia pracujących, wskazując w jaki sposób, jaką drogą mają walczyć polscy robotnicy. On to jako jeden z pierwszych wraz z gronem swych przyjaciół wskazał, że walka robotnicza nie ma nic wspólnego z tradycjami szlacheckich powstań, z odbudowaniem Polski. W miesięczniku „Równość“, wydawanym w Genewie, Dickstein i jego towarzysze pisali w 1879 roku:

„My, socjaliści polscy, z patryotami nic wspólnego nie mamy! Patryotyzm a socjalizm to są

dwie idee, które w żaden sposób pogodzić się nie dadzą.“

W rok później, w 1880 r., Dickstein i towarzysze piszą w tejże „Równości“:

„My zerwaliśmy raz na zawsze z programatami patryjotycznymi, nie chcemy Polski ani szlacheckiej, ani demokratycznej i nie tylko nie chcemy, lecz głęboko jesteśmy przekonani, że wywalczenie Polski przez lud jest dziś absurdem“.

Dickstein i towarzysze pierwsi też ostrzegali polskich robotników, aby nie dawali się tumanieć patryjotycznymi frazesami, objaśniając im, że wszelkie pogmatwanie socjalizmu odbudowaniem Polski jest tylko sposobem sprowadzenia klasy robotniczej na manowce.

„Dziś, pisali towarzysze Dicksteina w myśl jego w 1883 roku w piśmie „Proletarjat“, wydawanym w tajnej drukarni w Warszawie, dziś robotnik polski nie da się pociągnąć po dawnej drodze i hasło: „Niech żyje Polska“ przejdzie na zawsze do archiwum strupieszających i skonpromitowanych nadużyciem narodowych pamiątek.“

Jednocześnie Dickstein z towarzyszami wskazywali polskiemu robotnikowi obowiązek i niezbędną wspólną walkę z rosyjskim robotnikiem przeciw caratowi. W r. 1881 piszą oni w „Przedświcie“^{*)}:

^{*)} Nie należy mieszać „Przedświtu“ z owych czasów z pismem tegoż imienia, które teraz wychodzi w Krakowie i ma kierunek wręcz przeciwny, mianowicie socjalpatryjotyczny.

„koniecznym jest zorganizowanie jednej ogólnej partji socjalistycznej (w Rosji), w skład której weszłyby socjalistyczne organizacje rozmaitych narodowości w granicach państwa rosyjskiego“.

Widzimy słowem, że pomimo różnic, jakie bieg czasu wywołać musiał po dwudziestu latach w poglądach socjalistów polskich, Dickstein głosił te same główne zasady, które dziś głosi Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy. A co było słusznym już dwadzieścia lat temu, to dziś jeszcze słuszniejszym się stało.

Odbudowanie Polski dłońmi polskich robotników jest dziś najprostsza mrzonką i gonięcie za tą mrzonką ma ten tylko skutek, że odwraca uwagę i siły naszych robotników od walki o usunięcie knuta carskiego i o zdobycie wolności politycznych dla całego państwa, które jedynie odpowiadają interesom klasy robotniczej i zdołają także obronić narodowość naszą od barbarzyńskiego ucisku rusyfikacji. Dziś, gdy w samej Rosji rozwinął się potężny ruch wśród masy robotniczej, o jakim Dickstein przed ćwierć wiekiem ani marzył, spychanie polskich robotników na manowce walki narodowościowej jeszcze bardziej zasługuje na potępienie, niż wówczas.

Jeżeli więc dziś socjalpatryjoci z „Polskiej Partji Socjalistycznej“, którzy za główne swoje zadanie uważają właśnie odbudowanie Polski,

przywłaszczają sobie broszurkę Dicksteina, aby jego pracą i mózgiem posługiwać się dla szerzenia wzgardzonej i potępionej przez niego idei, to popełniają tym czyn, równy rabowaniu poległych na placu boju.

Dickstein-Młot do Was należy, robotnicy-socjaldemokraci, którzy jego ideje w czyn wprowadzacie, odrzucając wszelkie próby użycia walki robotniczej za narzędzie dla utopijnego hasła nacjonalizmu. Wam też oddajemy Młota w ręce. Niechaj Wam służy jako wierny druh do druzgotania ciemnoty mas robotniczych, dla spotęgowania ruchu robotniczego w Polsce, rozpoczętego przed dwudziestupięciu laty przez Dicksteina i towarzyszy.





Czytaliście może, a jeżeliście nie czytali, toście pewnie słyszeli o książce angielskiej pod tytułem „Pomoc własna“. Miała ta książka niesłychane mnóstwo wydań, przetłumaczono ją na wszystkie prawie europejskie języki, zachwycano się nią, wychwalano pod niebiosa.

W książce tej autor opisuje przykłady z życia rozmaitych ludzi, którzy z niczego dorobili się majątku, sławy, znaczenia. Z „niczego“, „własną pracą“, własnym sprytem zostali milionerami, bogaczami, panami. Tak przynajmniej opowiada autor tej książki (nazywa się on Smiles).

Wiecie dla czego tę książkę tak chętnie drukowano i sprzedawano w Anglii, dla czego zrobiono tyle wydań, dla czego ją tak chętnie tłumaczono?

W Anglii, jak i na całym świecie robotnikom jest źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Umierają z nich setki, tysiące z nędzy, z głodu, zupełnie tak, jakby to było w Warszawie, Lwowie, Krakowie, chociaż Anglija, jak mówią, jest najbogatszym krajem na świecie.

To też nic dziwnego, że i w Anglii robotnicy się skarżą, że się ruszają, że chcą bądź co bądź

wybrnąć z tego błota nędzy, w którym po uszy siedzą, i że nie jeden sobie mówi: „Nie, tak daleko być nie powinno. Trzeba wszystko jakoś odmienić“.

— „Wszystko odmienić? Zaraz pozwolimy wam na to!“, myślą sobie bogatsi Anglicy, ci, którym ani głodno, ani chłodno, i którzy właśnie niczego odmieniać nie potrzebują.

I zaczynają oni perswadować robotnikom, że wcale tak źle nie jest, że, co prawda, zginie czasami kilku robotników, ale pewnie byli niezaradni ludzie, próżniacy; kto wie, pijacy może. „Kto chce pracować, mówią oni, ten do wszystkiego dojdzie. Niech każdy tylko myśli o sobie, niech pracuje. Każdy człowiek może żyć, zбогациć się ze swojej pracy.“

Rozumiecie teraz, dla czego tak chwalono tę książeczkę o „Własnej Pomocy“, dla czego ją tłomaczono na wszystkie języki, dla czego tyle jest innych książek, które cuda opowiadają o tem, coby to robotnicy mieć mogli, gdyby pracowali ciągle, pracowali bez wytchnienia. Dlatego, że wszędzie są robotnicy, rzemieślnicy, którzy czują, że im źle, dlatego, że wszędzie też są panowie, którym dobrze, w Anglii i Francji, w Niemczech i Polsce. Dlatego, że wszędzie chcą, by robotnik najmniej myślał o tem, że wszystko trzeba odmienić, — by uwierzył, że nasza bieda, że nasza nędza, to najsprawiedliwsze rzeczy na świecie.

W tej oto książeczce, chcę właśnie pogadać z Wami o tem, czy to istotna prawda co mówią

panowie, czy to naprawdę każdy żyje ze swojej pracy, czy naprawdę każdy „własną pracą“ może dojść do wszystkiego.

I.

„Każdy człowiek żyje ze swojej pracy“. Czy tak?

Na pierwszy rzut oka to jakoś istotnie wygląda, że tak. Bo naprzód tyle o tym mówią, piszą w gazetach, książkach, kurjerach, ba! nawet słyszeliśmy o tym z ambon kazania. A potem, toć przecież, zdaje się, istotna prawda, że szewc żyje ze swej szewskiej pracy, krawiec z krawieckiej, nauczyciel z nauczycielskiej; fabrykant wszak także pracuje, jeżeli nie rękami, to głową, a nawet ministrowie, król, cesarz, ileż to oni napracować się muszą przy podpisywaniu rozmaitych papierów!

No! więc czy tak? Czy każdy człowiek żyje ze swej pracy?

Zdziwi to was zapewne nie mało, kiedy wam powiem, że tak nie jest. Żaden człowiek nie żyje ze swej własnej pracy, nie tylko królowie i ministrowie, nie tylko fabrykanci i kupcy, ale nawet ogół pracujących, rzemieślników.

Gdyby na przykład szewc nie tylko robił buty, ale miał kawałek gruntu, na którymby siał sobie jarzyny, zboże, gdyby sam przął, tkał i szył sobie odzież, gdyby, jednym słowem, wszystko co mu potrzeba, robił we własnym domu, u siebie,

wtedy moglibyśmy powiedzieć, że istotnie on żyje z własnej pracy.

I dawniej, przed kilkuset laty to istotnie tak bywało, — dawniej, kiedy to każde miasto miało dużo swoich własnych gruntów, a każdy prawie rzemieślnik był obywatelem miasta i miał do tych gruntów prawo. Wtedy to naprawdę rzemieślnicy wszystko, co im potrzeba było, przygotowywali u siebie, na swoim kawałku gruntu i żyli naprawdę z własnej pracy.

Ale dziś to, jak wiadomo, tak nie jest. Rzemieślnicy nie mają swego gruntu, a szewc na przykład może tylko robić buty i nic więcej jak buty. A butów ani jeść nie można, ani się nimi przyodziać, ani spać na nich.

To samo możemy powiedzieć o krawcu, stolarzu, mularzu. Krawiec nie może ani jeść, ani pić swoich surdutów, ceglarz swych cegieł na obiad nie ugotuje. A o królach, ministrach i innych podobnych ludziach cóż powiem? Ci to nie tylko dla siebie nic zrobić nie umieją, ale jeść sami nie potrafią; trzeba im wszystko do gęby podawać.

Szewska więc tylko praca szewca nie nakarmi jeszcze, nie napoi, krawiecka praca krawca nie obuje.

Kto jeszcze najprędzej mógłby powiedzieć, że żyje z własnej pracy, to włościanin u nas. Ten przynajmniej chleb, mleko, jarzyny wyrabia u siebie w domu; wielu nawet to i całą odzież;

choć ostatnimi czasy coraz rzadziej. Wiecie przecież, że i teraz już woli gospodyni kupić na rynku spódnice, niż w domu ją uszyć, bo to i ładniejsze i zgrabniejsze i tańsze.

A co powiecie na to, że w innych krajach to nawet włóścianie nie prawie z potrzebnych rzeczy w domu nie robią! Są tacy, co tylko wino hodują i nic więcej, albo tylko len, albo tylko jarzyny — a wszystko, co im potrzeba do jedzenia i do ubrania, kupują na rynku.

Jak widzicie więc, to nikt, albo prawie nikt nie żyje z własnej pracy. Szewc żyje z pracy krawca, mularza, stolarza, włóścianina; krawiec żyje z pracy szewca, stolarza, włóścianina; włóścianin znowu po części żyje z pracy krawca, szewca i stolarza i t. d. Wszyscy ludzie żyją nie z własnej pracy ale z cudzej, z pracy innych ludzi.

„Ależ każdy z nich pracuje“, odpowiecie na to, „każdy z nich, gdyby nie pracował, to nicby nie miał“.

To prawda. Dlatego też powiemy, nie — że wszyscy ludzie żyją z własnej pracy, ale że się z własnej pracy utrzymują.

Wiem, co byście mi na to zarzucić mogli. „Nie kijem go to pałką. Nie żyją, ale utrzymują. Niby to nie wszystko jedno.“

Nie, nie wszystko jedno, i zaraz wam wytłumaczę dlaczego.

Jeżeli by szewc, krawiec, rolnik naprawdę żył ze swej pracy, gdyby, jak to dawniej bywało,

miał wszystko co mu potrzeba u siebie, to mógłby być spokojny, że chociaż może mu być raz lepiej, drugi raz gorzej, ale, że z głodu nie umrze i zawsze wyjdzie na swoim.

Ale teraz to zupełnie inaczej. Szewc robi tylko buty. Robi ich jaknajwięcej i potem chce je sprzedać, jak każdy inny towar. Jeżeli kupca znajdzie, to dobrze. Sprzeda buty i będzie mógł kupić to, co mu potrzeba. A jak nie sprzeda? jak mu powiedzą, że butów i tak dosyć, jak kupujący nie będą przychodzili do jego sklepu? To cóż wtedy? Czy buty ugotuje dzieciom na kolację, czy butami spłaci podatki, lichwiarza, bank i t. d.?

Otóż widzicie, że utrzymywać się z własnej pracy, a żyć z własnej pracy, to nie wszystko jedno.

Póki wszyscy ludzie przygotowywali wszystko co im potrzeba było we własnym domu, u siebie, póki sprzedawali mało swoich wyrobów, póty można było mówić, że z pracy swej żyją.

Ale od czasu, kiedy ludzie zaczęli coraz bardziej robić na sprzedaż, coraz więcej sprzedawać butów, zamków, stołów, odzieży, t. j. wogóle rozmaitych towarów, zaczęli też mniej pracować w domu na siebie, a więcej dla innych. I doszło do tego, że szewc warszawski robi buty dla rosyjskiego rzemieślnika, angielski robotnik kuje gwoździe dla warszawskiego szewca, a amerykański kolonista wyrabia zboże dla angielskiego robotnika.

Od czasu więc, kiedy towarów coraz więcej na świecie, nikt nie robi dla siebie, ale wszyscy robią dla innych; nikt nie żyje z własnej pracy, ale z pracy cudzej, z pracy innych ludzi.

II.

„Więc zgoda. Nikt nie żyje z własnej pracy, ale każdy się z niej utrzymuje, to już chyba rzetelna prawda!“

— No! No! dużo o tym jeszcze dałoby się powiedzieć, ale za nim wszystko wypowiemy, musimy się zgodzić, że w tym powiedzeniu, że każdy utrzymuje się ze swej pracy, dużo jest racji.

Każdy utrzymuje się z pracy. Dlaczego z pracy? A dla tego, że kto chce sprzedać jakikolwiek swój wyrób, but, czy surdut, szklanę, czy nóż, zawsze będą oceniać wyroby jego według pracy i płacić będą według niej. Wytłomaczmy to zaraz bliżej.

Przypuśćmy, że szewc jakiś pracował nad butami dzień cały i dostaje później za te buty 10 łokci płótna. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Pracował, więc ma za to płótno.

Ale przedstawmy sobie na chwilę, że jest na świecie taki szczęśliwy kraj, w którym... buty spadają z deszczem. Takiego kraju nie ma, no..., ale, gdyby był? to, jak myślicie, dużo by płacono szewcowi za jego buty? Z pewnością że nie. Ludzie mówiliby tylko, że za buty nie

płacić nie warto, że nie kosztują one żadnej pracy, że więc każdy je mieć może i nasz szewc, żeby nie umrzeć z głodu, musiałby się wziąć do innej roboty.

I u nas, chociaż buty na drzewach nie rosną, jest dużo takich rzeczy, za które nic nie dostanie, które nic nie kosztują, dlatego, że do nich nie potrzeba pracy, że w nich pracy nie ma wcale. Ani za wodę u źródła, ani za grzyby w lesie, ani za piasek w rzece nic nie płacisz, bo możesz je mieć bez pracy, bo one ludzkiej pracy nie kosztują.

Ale za to im więcej jaka rzecz ma w sobie ludzkiej pracy, tym więcej, jak to mówią, ma ona w sobie wartości, tym więcej dadzą za nią. Za łokieć płótna dają więcej, jak za łokieć perkalu. Dlaczego? Dlatego, że łokieć perkalu i prędzej i łatwiej zrobić, dlatego, że mniej w niego potrzeba włożyć pracy niż w łokieć płótna. Złoty łańcuszek droższy od metalowego — dlaczego? Czy dlatego, że złoto ładniej błyszczy, że jest cięższe? Nie, bo łańcuszek metalowy tak samo błyszczeć może i tyleż może ważyć co i złoty, ale dlatego, że złoto trudniej znaleźć, że trzeba dużo pracy, bardzo dużo, żeby go wydobyć z ziemi, że więc w łańcuszku ze złota więcej jest pracy niż w metalowym.

Widzimy to nawet na wodzie i na jagodzie. Woda u źródła nic nie kosztuje. W mieście jednak trzeba płacić wozowodzie za dostarczenie

wody. Płaci się nie za to przecie, że woda smaczniejsza, jeno za pracę woziwody. Jagody w lesie nie kosztują, w mieście się już płaci a to dlatego, że baba miała pracę zbierać je w lesie.

Dlatego też rzemieślnikowi każdemu, szewcowi, krawcowi, piekarzowi, kiedy płacą za buty, surdut, za chleb, płacą za pracę, która w tych butach, tym surducie, tym chlebie jakby siedziała. Jeżeli na zrobienie jednego bochenka chleba potrzeba godzinę pracy, a na zrobienie pary butów 10 godzin, to za parę butów dostać będzie można 10 bochenków chleba, bo praca zawarta w butach, (albo jak mówią inaczej, wartość butów), jest 10 razy większa od pracy zawartej (albo od wartości) w bochenku chleba*).

Jeżeli za łokieć sukna płaci się dukata, to dla tego, iż, żeby go zrobić (to jest żeby wychodować owce, strydz wełnę, utkać sukno i t. d.), potrzeba tyle pracy, ile na zrobienie jednego dukata (na odszukanie złota, przywiezienie go, przetopienie i t. d.), na przykład 36 godzin. Za łokieć perkalu płacimy zaś tylko złotówkę, bo na wyrobienie go (na zasiew i sprzęt bawełny, utkanie, ufarbowanie) potrzeba 36 razy mniej pracy, t. j. tylko jedną godzinę.

*) Gdyby się kto was zapytał, co to jest wartość szklanki, buta, sukni, to z łatwością znajdziecie odpowiedź że wartość to jest praca, która siedzi, która jest zawartą w tej szklance, w tym bucie lub sukni.

Oto dlaczego można mówić i pisać, że szewc, krawiec, stolarz, ślusarz, robotnicy w ogóle, utrzymują się ze swojej pracy. Wszyscy oni robią rozmaite wyroby, wyroby te jak towary wynoszą na sprzedaż i tam płacą im tyle akurat, ile zawierały one w sobie pracy. Im więc który rzemieślnik pracuje więcej, im więcej włoży pracy do towaru, im więcej włoży do niego swoją pracą wartości, tym więcej dostanie przy sprzedaży, tym lepiej za towar zapłacą.

[Gotów tu kto z resztą pomyśleć, że w takim razie niezdarny rzemieślnik, który więcej zmudzi czasu nad jakim towarem, lepiej daleko na tym wyjdzie, niż zręczny, bo mu więcej zapłacą. Gdzież tam, tak rzeczy nie stoją! Nie to stanowi o wartości towaru, ile czasu każdy sobie zechce nad towarem partolić, tylko ile czasu rzeczywiście potrzeba na wytworzenie towaru. Jeżeli na przykład zwinny i pilny szewc potrafi przeciętnie zrobić parę męskich kamaszy w 8 godzin, to nikt, kupując kamasze, nie zechce płacić więcej, jak za osiem godzin pracy, choćby jaki niedołężny partacz nad nimi i 20 godzin przesiedział.

Bywa też tak, że rzemieślnik pracuje kiepskimi, przestarzałymi narzędziami, jakich już mało kto używa, i dla tego, choć sam jest może bardzo zręczny i pilny, traci dużo zbytecznego czasu na zrobienie towaru. Ten zbytecznie użyty czas z powodu kiepskich narzędzi też się nie liczy i nikt

za niego nie będzie płacił. Zaraz to pokażemy na przykładzie.

Dziś, dajmy na to, pończochy ogólnie robią na maszynie i zrobienie pary pończoch nie trwa nawet i pół godziny czasu. R. biąc zaś w rękę na drutach, jak to nasze babki i matki jeszcze dłubały, nikt chyba prędzej jak w dzień pary pończoch nie robi, choćby się nie wiem jak śpieszył. Ale przez to takiej ręcznej pończoszarce dzisiaj nikt ani myśli zapłacić tyle, ile by jej się za dzień roboty należało, bo każdy powie, że maszynowe pończochy może dostać znacznie taniej. Więc i ręczna pończoszarka musi dziś oddawać swój towar mniej więcej za tę cenę, jaką dają za maszynowy, bo wobec panowania maszynowej fabrykacji ten zbyteczny czas, który ona zużywa, pracując ręcznie, nie jest dziś niezbędny i dlatego nie nadaje wartości towarowi. Wartość więc towaru, powiedzmy to raz na zawsze, stanowi nie byle jaki czas, stracony nad nim, tylko czas niezbędny, potrzebny przy przeciętnej zręczności rzemieślnika i przy użyciu ogólnie przyjętych ulepszonych narzędzi pracy.

Dobrze, powiecie, ale przecież w takim razie każdy towar powinienby mieć stałą cenę, a tymczasem każdy rzemieślnik wie z doświadczenia, że choćby wkładał w swój wyrób zawsze jednakową ilość pracy, to jednak nie zawsze za jednakową cenę go sprzeda; w lepszych czasach dostaje

więcej, w gorszych musi nawet często ze stratą sprzedawać. A więc może jednak wartość towaru nie zależy od tego, ile pracy w nim zawarte?

Na to Wam odpowiem: tak się tylko wydaje na pierwszy rzut oka. Bo cóż to znaczy, jak się mówi: „lepsze czasy“ albo „gorsze czasy“? To znaczy, że raz jest więcej popytu na towar, niż gotowego towaru, kupująca publiczność dobija się o towary i ceny idą dla tego w górę. W takich razach płać za towar daleko więcej, niż on wart. Innym znowu razem towaru leży po sklepach w zapasie daleko więcej niż publiczność potrzebuje; wtedy ceny spadają i rzemieślnik, aby się pozbyć, oddaje swój wyrób niżej wartości.

Przy dzisiejszych porządkach, kiedy każdy rzemieślnik i fabrykant robi towary na oślep, nie wiedząc, ile jakiego towaru potrafi sprzedać, takie „gorsze“ i „lepsze czasy“ muszą ciągle po sobie z kolei następować. Ale właśnie w ten sposób te różnice w cenie przy sprzedaży wyrównywają się wkońcu. Bo jak jednego sezonu fabrykant sukna, dajmy na to, będzie sprzedawał swój wyrób ze stratą, to jest niżej jego wartości, to się postara na drugi sezon mniej sukna naszykować; to samo zrobią i inni fabrykanci sukna, a kiedy przy braku towaru ceny znowu pójdą w górę, to każdy z nich odbije poprzednie straty. W ten sposób chociaż raz ceny idą w górę, drugi raz spadają na dół, to jednak przecięciowo, jak obliczyć dobre i złe czasy razem, za towary płaci się podług

ich wartości, czyli podług pracy, która w nich zawarta.

Ma się rozumieć, że kiedy mówię: „płaci się podług pracy“, to nie znaczy bynajmniej, że się naprzykład szewcowi przy kupowaniu butów płaci tylko za jego szewcką robotę. W cenie butów kupujący zwraca szewcowi także wydatki jego na materiały: na skórę, dratwy, ćwieczki i t. d. Ale wydatki na materiały, to znowu nic innego, jak zapłata za pracę innych rzemieślników, co te materiały zrobili.

Słowem, jakkolwiek rzecz obrócić, pozostaje prawdą, że się w każdym towarze płaci tylko za pracę, i im więcej jaki towar zawiera niezbędnej pracy, tym więcej za niego zapłaca.]*)

III.

„A widzisz“, moglibyście mi teraz powiedzieć, tyle mówiłeś złego o książce „Pomoc własna“, a teraz mówisz to samo, co i ta książka, że im kto więcej pracuje, tem więcej zarobi.“

Poczekajcie, nie spieszcie się z zarzutami, a posłuchajcie mnie jeszcze.

Mówiłem wyżej, że im więcej rzemieślnik włoży pracy do towaru, tym więcej za niego dostaje. Szewc za buty o podwójnych podeszwach,

*) Powyższy ustęp, ujęty w nawias, dodaliśmy od siebie dla dokładności. Przyp. Wydawców.

elegancko zrobione, więcej dostanie jak za partacką robotę.

To prawda. Ale żeby nasz szewc mógł zrobić i wykończyć swoje buty, potrzebuje skóry, potrzebuje narzędzi, potrzebuje wynająć warsztat a to kosztuje pieniądze. Ślusarz, jeśli chce robić zamki, także musi sobie wynająć warsztat, kupić narzędzia i musi żyć przez pewien czas, póki zamków swoich nie sprzeda. A nato znowu trzeba pieniędzy.

Jeżeli kto ma pieniądze, to dla niego nic. Urządzi warsztat, będzie wyrabiał towary, i później będzie je sprzedawał stosownie do wartości, stosownie do pracy, która w nich zawarta.

Ale jak kto nie ma pieniędzy? jak kto nie może sobie założyć warsztatu? jak kto nie może wyrabiać żadnych towarów, bo ani sobie materiału ani narzędzi kupić nie może. To cóż wtedy? Co wtedy będzie, jeżeli, jak to się najczęściej dzieje, ten człowiek nie ma i nie może się od nikogo spodziewać pomocy — a żyć, przecież musi, musi jeść, pić, ubierać się, mieszkać. Świat teraz tak urządzony, że, żeby coś kupić na rynku, czy pokarm, czy odzież, potrzeba mieć albo pieniądze, albo towar jakiś do sprzedania. Nasz robotnik pieniędzy nie ma, towarów mieć nie może, więc żeby żyć, żeby jeść, musi sprzedawać siebie, musi zostać najemnikiem, niewolnikiem — musi pójść na robotę do innych.

Jakto sprzedać siebie? jakto być niewolnikiem? zapytacie mnie pewno. Toć przecież pracować w fabryce, pracować u majstra, to jeszcze nie niewola. Czy czeladnik, czy robotnik fabryczny zawsze to ludzie wolni, pracują u kogo im się podoba i póki im się podoba i nikt nie ma prawa im rozkazywać.

Wiemy, znamy my tę wolność. Wiemy o tym, jak majster czeladnikami pomiata, wiemy o tym, jak w fabryce tysiące robotników kłaniać i uginać się muszą przed lada jakim pisarczykiem. A czy śmiać oni kiedykolwiek odezwać się głośniejszemu, na grubijaństwo odpowiedzieć grubijaństwem? A czy odezwą się głośniejszym protestem, kiedy im fabrykant płacę obniży, albo z tygodniowego zarobku coś urwie. Nie ośmielą się nigdy, bo są niewolnikami, wiedzą, że jeżeli fabrykant z batem nad nimi nie stoi, to stoi po za nimi głód, straszniejszy od bata.

Człowiek, który pracę swoją sprzedaje, wolnym być nie może. Musi on mieć pana i ma pana nad sobą. Wolni są tylko ludzie, co siebie sprzedawać nie potrzebują. To trudno! Robotnik pracuje w fabryce, bo musi, bo swoich narzędzi pracy nie ma, słucha swego fabrykanta, bo musi, bo fabrykant ma dwóch potężnych sprzymierzeńców: wojsko i rząd naprzód a potem głód. Z takimi wrogami trudna walka, to prawda; trudniejsza jeszcze wygrana; ale i to prawda, że robotnicy u nas dotychczas o wiele za mało walczyli.

IV.

Niewolnikiem, czy nie niewolnikiem, to wszystko jedno, moglibyście odpowiedzieć. Nam nie chodzi tu o to, kto niewolnik, albo kto wolny, ale o to, żeby się dowiedzieć, czy to prawda, że każdy utrzymuje się ze swojej własnej pracy, czy to prawda, że własną swoją pracą można dojść do czegoś, do majątku.

— A toście dopiero w gorącej wodzie kąpani. Nie spieszcie się! Powoli dojdziemy i do tego. Musimy się przecież nad każdą rzeczą należycie zastanowić.

Jesteś rzemieślnikiem, mój czytelniku, ślusarzem, stolarzem, krawcem czy szewcem, albo też wyrobnikiem, pieniędzy nie masz, warsztatu ani narzędzi urządzić sobie nie możesz i idziesz na ulicę sprzedawać siebie. Po dłuższym, albo krótszym szukaniu znajdziesz nareszcie majstra albo fabrykanta, który ciebie kupuje.

Jak myślisz, czytelniku, na co ciebie kupuje? Czy dla twoich pięknych oczu? Wszak nie? To może dla tego, że się nad tobą zmiłował, że chce ci w biedzie dopomódz. I o tym wiesz dobrze, że nie. Kupił cię dla tego, bo wie, żeś robotnikiem, że umiesz i możesz poruszać warsztat, że umiesz i możesz kuć młotem, że umiesz i możesz klepać podeszwy, jednym słowem dlatego, że masz siłę roboczą.

Kupując cię, majster lub fabrykant myśli jedynie o twojej sile i umiejętności. Gdybyś nie

miał tej roboczej siły i umiejętności, toby cię nikt za darmo nawet do siebie nie przyjął. Jemu ta twoja siła potrzebna i bardzo potrzebna. Cała rzecz tylko, ile za tę siłę roboczą zapłacić. W tem sęk. Bo to żadna sztuka wiedzieć, ile zapłacić potrzeba za szklankę, but, koszulę. Oblicza się po prostu, ile godzin zajęła praca około tych rzeczy. Dajmy na to, że na zrobienie szklanki (wystawienie huty, topienie szkła, wydmuchiwanie szklanki i t. d.) użyto pół godziny pracy, na zrobienie butów (garbowanie, krajanie skóry, szycie butów i t. d.) 20 godzin, na zrobienie talerza godzinę. Przypuśćmy dalej, że w naszym kraju za godzinę pracy płaci się zwykle złotówkę albo, że w srebrnej złotówce jest także godzina pracy. Nie trudno teraz znaleźć, ile kosztuje szklanka — pół godziny pracy, więc pół złotego; but — 20 godzin, więc 20 złotych; talerz — godzinę pracy, więc złotówkę.

Ale jak to obliczyć ile kosztuje człowiek, ile zapłacić za jego siłę? czy to się godzi oceniać człowieka jak towar?

Godzi się, czy nie godzi, o to mniejsza; dosyć, że istotnie siłę człowieka oceniają tak, jak towar. Przypuśćmy, że kupują robotnika, to jest jego siłę roboczą na jeden dzień. Przypuśćmy dalej, że ten robotnik, żeby mógł żyć i pracować, żeby mógł podtrzymywać swoją roboczą siłę, musi wydawać wszystkiego 6 złotych dziennie (albo jeżeli złotówka ma tę samą wartość co godzina pracy)

6 godzin. Jeżeli po dniu przepędzonym przy pracy, nasz robotnik dalej chce pracować, to żeby odświeżyć swoje siły, żeby na nowo wytworzyć swoją siłę roboczą, musi wydać 6 godzin pracy (na jedzenie, ubranie, mieszkanie i t. d.). Możemy więc powiedzieć, że wytworzenie jego siły kosztuje 6 godzin pracy, albo inaczej, że jego siła robocza kosztuje 6 godzin pracy, że wartość jego siły roboczej wynosi 6 godzin pracy*).

Pan fabrykant wie o tym dobrze, że siła robocza warta 6 godzin pracy, to jest tyle, ile 6 talerzy, albo 12 szklanek, albo trzecia część pary butów i płaci swemu robotnikowi za jego siłę, jak za każdy inny towar, 6 złotych.

Robotnik więc dostaje za swoją siłę roboczą tyle akurat, ile mu potrzeba na wyżywienie.

Ale powróćmy jeszcze raz do naszego pytania, po co fabrykant kupuje siłę robotniczą?

Bo że robotnik ją sprzedaje, to rozumiemy. Głód silniejszy od wszystkiego, nawet od wrodzonego każdemu człowiekowi uczucia swobody, silniejszy nieraz od wstydu. Przecież z pewnością szczęścia nie zadościmy tym nieszczęśliwym dziewczętom, co na ulicę wychodzą, by swe ciało sprzedawać. Czyż to nie głód je zmusza do upadku?

Nie chcę ja tutaj porównywać upadającego rzemieślnika, upadłej dziewczyny z uczciwą pracą

*) Pamiętajmy więc, że wartość siły roboczej wynosi tyle godzin pracy, ile potrzeba na wyżywienie robotnika.

rzemieślnika, który swą pracę sprzedawać musi, ale musicie przyznać, że pewne podobieństwo pomiędzy nimi istnieje.

Więc po co majster kupuje roboczą siłę robotnika. Czy, żeby się nią bawić? Nie! Więc po co? Po to, że chce zarobić, chce zbożać się „własną pracą“, jak mówi autor „Pomocy własnej.“

Żeby sobie jasno wytłómaczyć, na co fabrykant kupuje siłę robotniczą, weźmiemy sobie kilka przykładów, które najlepiej rzeczy wyjaśnią.

Przypuśćmy, że ktoś zakłada fabrykę, która bawełnę przerabia na nici. Przypuśćmy, że kupił bawełny za 14 000 złotych, że kupił maszyny za 800 złotych, że 240 złotych użył na węgiel do parowej maszyny, na gaz i na inne dodatki, i że puścił w ruch swoją fabrykę. Widzimy więc, że wydał on 15 040 złotych na założenie fabryki. Jak myślicie po co on fabrykę porusza? Oczywiście dlatego, że chce swoje nici sprzedać drożej, niż zapłacił za bawełnę, maszyny, gaz: i oczywiście, że kiedy nareszcie dostanie z bawełny nici, to nie sprzeda ich za 15 040 złotych, ale będzie chciał dostać więcej, np. 20 000.

Chcieć to nie dosyć jeszcze. Idzie tu o to, żeby naprawdę mu dano 20 000. Ale czy mu dadzą, to jeszcze pytanie.

Gdyby mógł się stać taki cud, żeby maszyny przedły bawełnę bez pomocy robotnika, i gdyby nasz fabrykant zaniósł do kupca swoje nici i wtedy

zażądał 20 000, to kupiec odpowie mu poprostu tak: W twoich niciach jest naprzód wartość bawełny, t. j. 14 000 złotych albo (jeżeli na zrobienie złotego potrzeba godzinę pracy) 14 000 godzin pracy; potem wartość maszyn, t. j. 800 złotych, albo 800 godzin pracy, potem wartość węgla, gazu i t. d., to jest 240 złotych albo 240 godzin pracy. Razem 15 040 godzin pracy. Twoje nici więc warte są 15 040 złotych, ani grosza więcej, ani grosza mniej i więcej jak 15 040 złotych za nici nie dam.

Czy nasz fabrykant kontent byłby z takiej odpowiedzi — nie wiemy. Wiemy tylko, że do dziś dnia maszyny same działać nie mogą, i że na szczęście fabrykanta do maszyn potrzeba jeszcze ludzkiej pracy. Fabrykant to rozumie, wynajmuje, dajmy na to, 100 robotników i płaci im za ich roboczą siłę, jak za towar, po 6 złotych.

Robotnik, wynajęty za 6 złotych dziennie, wie, że wynajęto go nie po to, żeby się na niego patrzeć, więc czyści bawełnę, przedzie, zwija motki i t. d., jednym słowem pracuje, dokłada do bawełny swoją pracę. Po pierwszej godzinie dołożył do niej jedną godzinę pracy, albo powiększył jej wartość o godzinę, albo o złoty (jeżeli złotówka warta godzinę pracy), po dwóch godzinach powiększył jej wartość, dodał do niej dwie godziny albo 2 złote wartości, po 3-ch godzinach 3 złote wartości, i wreszcie po 6-ciu godzinach pracy dołożył 6 złotych wartości, to jest akurat tyle, ile fabrykant za jego

siłę zapłacił. Tak więc robotnik po 6 godzinach pracy zupełnie odrobił swoją zapłatę. Tak pracuje on cały tydzień, a po tygodniu fabrykant zabiera nici, zanoszi je na rynek i żąda znowu 20 000 zł.

Ile chcesz za nie? 20 000 złotych, mówi kupiec do fabrykanta, to za wiele! Czy ty myślisz, że w tych niciach naprawdę jest za 20 000 złotych wartości? Gdzie tam! Zrób z nami obliczenie. Jest w niej, jak widzisz, za 14 000 złotych bawełny, za 800 złotych maszyn, za 240 złotych węgla, i oprócz tego jest jeszcze pracy ludzkiej 36 godzin (jeżeli każdy robotnik pracował 6 dni w tygodniu po 6 godzin dziennie) pomnożone przez 100 (bo było 100 robotników) czyli — 3 600 godzin. A więc jeszcze raz: 14 000 godzin, to jest wartość bawełny, obliczona na godziny pracy, 800 godzin, to jest wartość maszyn, obliczona w godzinach pracy, 240 godzin, to jest wartość węgla, gazu i t. d., obliczona w godzinach pracy, 3 600 godzin pracy, dołożonej do bawełny przez 100 robotników — a wszystkiego razem 18 640 godzin. Możemy więc ci dać 18 640 złotych, ani grosza więcej.

— Jakto, toż przecież ja nic nie zarobiłem, przecież właśnie wydałem na nici i inne wydatki 18 640 złotych! Gdzież mój dochód? Więc po cóż prowadziłem fabrykację? Cóż mi z niej przyszło? Pocóż mi ta cała komedia?

Istotnie dochodu by nie było, fabrykacja nie opłacała by się, gdyby nasz fabrykant nie wpadł

na pomysł. Robotnikom swoim, którzy po 6-ciu godzinach odrobili swoją płacę roboczą, każe pozostać w fabryce i pracować dłużej.

— Jakto, mogliby powiedzieć robotnicy, każesz pan pracować dłużej, a wszak my swoją płacę już odrobili; dodaliśmy do bawełny tyle wartości, ile kosztowała nasza siła robocza.

— Co wy mi tam gadaci! Ja was kupiłem, ale nie waszą siłę roboczą, kupiłem was na dzień i mogę z wami przez ten dzień robić co mi się spodoba. Nie rozprawiać a pracować.

I robotnicy, którzy po 6-ciu godzinach pracy powinni by wyjść z fabryki, odpoczywać, używać przechadzki lub pracować na siebie, zostają dłużej i pracują jeszcze 6 godzin. Fabrykant dodaje im bawełny, dokupuje maszyn i węgla. Robotnicy po każdej godzinie swej pracy dokładają do tej nowej bawełny nową wartość, a po 6-ciu godzinach zapłaconych, każdy z nich dodaje 6 nowych godzin wartości. Rozumie się, że ta nowa wartość nic już nie kosztuje fabrykanta, że jest zupełnie darmo. Jeden robotnik dodaje tym sposobem 6 złotych wartości; 100 zaś robotników dokłada przez jeden dzień 600, a przez tydzień 3 600 złotych wartości.

Jeżeli teraz nasz fabrykant sprzedać zechce tę drugą połowę swych nici, to ileż za nią dostanie? Oczywiście, że znowu 18 640 złotych czyli 18 640 godzin pracy, ponieważ umówiliśmy się, że złotówka zawiera godzinę pracy. Teraz zobaczmy

rachunek fabrykanta co do nowych nici. Otóż w niciach będzie wartość nowej bawełny (14000), wartość nowych maszyn (800), wartość nowej ilości węgla i gazu (240), i 36000 godzin pracy robotniczej, nie zapłaconej przez fabrykanta, jeno dodanej przez robotników darmo. Teraz już chętnie odstąpi fabrykant za cenę 18 640 zł. swoje nici, bo nie kosztowały go one tyle, ale tylko 15 040 (14 000 bawełna, 240 węgle, 800 maszyny). Teraz to fabrykacja już się opłaci.

Zrobimy teraz ostateczny rachunek, to jest rachunek tego wyrobu nici, przy którym fabrykant płaci robotnikom za ich pracę oraz rachunek tego wyrobu, przy którym fabrykant już nie robotnikom nie płaci, jeno za darmo ich pracę zagarnia. Nasz fabrykant wydał na bawełnę dwa razy po 14 000 zł., t. j. 28 000, dwa razy po 800 na maszyny i dwa razy po 240 złotych na węgle, i zapłacił 100 robotnikom za 6 dni 3600 złotych. Razem wydał 33 680 złotych. Dostanie zaś za pierwszą połowę nici 18 640 i za drugą również 18 640, razem 37 280 zł., ponieważ kupujący liczy, że fabrykant za każdą partję nici płacił robotnikom. Ma więc nasz fabrykant 3 600 złotych dochodu.

A z kąd powstał ten dochód? Oczywiście ztąd, że za robotę przy drugiej połowie bawełny nie nie zapłacił robotnikom, że robotnicy drugą połowę swej pracy oddali mu darmo, że na 3600 opłaconej pracy dołożyli do bawełny 3600

godzin nieopłaconej, a zatem, że do tej bawełny dodali 3600 godzin nieopłaconej, dodatkowej wartości, albo, jak to mówią, 3600 godzin nadwartości.*)

Teraz wiemy już po co fabrykant wynajmuje robotników. Po to, żeby z ich pracy mieć dochód, żeby od nich ściągać nadwartość.

Zkąd więc ma nasz fabrykant bawełny swój dochód? Czy z własnej pracy? Oczywiście, że nie. Więc z cudzej? Tak, z cudzej pracy, z pracy robotników.

Robotnicy pół dnia pracują tylko na siebie, drugie pół dnia na fabrykanta, pół swego życia pracują dla siebie, dla swojej rodziny, dla swoich, a druga połowa życia idzie na to, żeby fabrykant mógł mieć dochód ze swojej bawełny, by mógł zbierać nadwartość.

To cośmy tu o fabrykancie bawełny powiedzieli, da się powiedzieć o wszystkich majstrach i fabrykantach na świecie. Wszyscy oni kupują robotników, wszyscy kupują ich siłę roboczą, ale po to tylko, by z ich pracy korzystać, by kazać im pracować dłużej niż potrzeba i tym sposobem się z bogacać.

*) Więc cóż to będzie nadwartość? Nadwartość jest to ta wartość, którą robotnicy dokładają do wyrobu po nad to, za co otrzymali swą płacę roboczą, a zatem — jest to nieopłacona praca robotnika.

V.

Musicie się przecież zgodzić, że w tym, co dotychczas mówiłem, dużo jest racji. Moglibyście mi tylko jedno powiedzieć, że ten przykład z fabryką bawełny, to jakoś nie zupełnie prawdopodobny. Gdzie to słyszano, żeby maszyny kosztowały tylko 800 zł., albo żeby za bawełnę tylko 14 000 zł. płacono.

Jest w tym, co wy mówicie, dużo racji. Te liczby, które były podane w tym przykładzie, wybrano po to, by łatwiej tę nadwartość wyjaśnić. Ale teraz dam wam prawdziwy przykład z życia, i cyfry będą w nim tak dokładne, że nikt nie będzie mógł zaprzeczyć.

W Anglii, jak każdemu wiadomo, przerabiają bawełny ogromnie wiele.*) Oddawna już istnieją tam ogromne fabryki poruszane parą, oddawna już robotnicy przestali żyć z własnej pracy i musieli ją sprzedawać, zejść na zwykłych najemników, oddawna już cierpią i głód i nędzę. Za to fabrykanci bogacą się i nie złe mają wcale dochody.

Otóż jeden z takich fabrykantów bawełny wydał na swoją fabrykę 895 000 złotych i po roku sprzedał nici i dostał za nie 1 060 000 złotych. Ma więc zysku 165 tysięcy złotych, czyli 18 procent. Wiecie, że to jeszcze wcale nie dużo, bo wszak

*) W 1873 r. w Anglii przerobiono 1264 milionów funtów bawełny za pomocą 33 500 000 wrzecion.

i u nas są fabryki, np. cukrownie, które dają 40, 50 a nawet i więcej procentów dochodu.

Zobaczmy, zkad nasz fabrykant otrzymuje ten dochód. Żeby zaś lepiej się przypatrzeć, porachujemy, ile wydaje on tygodniowo na fabrykację.

Fabryka, o której mówimy, ma 10 000 wrzecion, poruszanych za pomocą maszyny parowej. Jedno wrzeciono (rozumie się przy pomocy robotnika) może uprząść 1 funt nici tygodniowo. Wrzecion jest 10 000 — więc fabryka może zrobić w ciągu tygodnia 10 000 funtów nici. Ale żeby zrobić 10 000 funtów nici, potrzeba kupić bawełny więcej niż 10 000 funtów, bo zawsze dużo bawełny traci się przy fabrykacji. W naszej fabryce muszą kupować 10 600 funtów bawełny, bo 600 się traci. Funt bawełny kosztował w Anglii (1871 r.) 1 złoty 9 groszy, a więc na bawełnę potrzeba było wydać 10 600 razy po 1 zł. gr. 9 czyli 13 780 złotych.

Żeby z tej bawełny otrzymać nici, potrzeba maszyn, rozmaitych pomocniczych materiałów i pracy robotniczej. Maszyny, t. j. wrzeciona wraz z machiną parową kosztują 400 000 złotych. Ale kiedy maszyny raz już kupione, to nie zużywają się one odrazu, ale mogą służyć przez 10 lat. Wypada więc, że roczny wydatek na maszyny nie będzie 400 000 zł., ale dziesięć razy mniejszy, to jest 40 tysięcy, a tygodniowy wydatek (jeżeli w roku 50 tygodni) 50 razy mniejszy od 40 000

czyli 800 złotych. Dalej, do maszyn potrzeba kamiennych węgla (dla ogrzewania kotła), oleju (dla smarowania osi). Potrzeba prócz tego gazu do oświetlania fabryki i t. d. Otóż węgiel w naszej fabryce kosztuje tygodniowo 164 zł., gaz 40 złotych. Za wynajęcie lokalu fabrykant płaci 240 zł. tygodniowo. Razem, wszystkie tygodniowe wydatki (t. j. bawełna, węgle, gaz, mieszkanie, olej i t. d.) wynoszą 15 230 złotych. Wszystkie te jednak materiały nie dadzą, póki nie będzie robotników. Fabrykant wynajmuje więc 135 robotników (każdy z nich dogląda 74 wrzecion) i płaci im za ich siłę roboczą tyle, ile potrzeba na wytworzenie tej samej siły, czyli innymi słowy, ile potrzeba robotnikowi na przeżycie (pokarm, odzienie, mieszkanie i t. d.). Przypuśćmy, że potrzeba dwa i pół złotego dziennie, albo 15 złotych tygodniowo. Wszystkim więc robotnikom będzie się należało 2025 zł. tygodniowo.

Gdyby robotnicy pracowali tylko dla siebie, to jest gdyby oddawali fabrykantowi i dokładali do bawełny tylko tyle wartości, za ile sami wzięli u fabrykanta płacy roboczej, to byłoby bardzo łatwo obliczyć, ile powinny kosztować wyrobione przez nich w ciągu tygodnia 10 000 funtów nici. Istotnie, w tych niciach powinna się zawierać: 1) wartość zużytej bawełny — 13 780 zł.*), 2) wartość

*) Przypominam wam tutaj, że kiedy się mówi, że wartość bawełny jest 13 780 zł., to się mówi błędnie. Właściwie potrzeba mówić tak: W bawełnie tej jest tyle

maszyn — 800 zł., 3) wartość węgla — 164 zł., 4) wartość oleju — 164 zł., 5) wartość gazu — 40 zł., 6) wartość rozmaitych dodatków — 40 zł., 7) wartość mieszkania — 240 zł., i nareszcie 8) zużyta przez robotników i zapłacona praca — 2 025 zł.. Razem 17 250 zł. okrągło licząc. A zatem 10 000 funtów nici powinny kosztować 17 250 złotych, a jeden funt 10 000 razy mniej, czyli 1 złoty 22 grosze (prawie).

Tymczasem nasz fabrykant za funt nici dostaje nie 1 zł. 22 gr. a 2 zł. gr. $1\frac{1}{4}$, a za 10 000 funtów (10 000 razy tyle) czyli przeszło 20 400 zł., to jest o 3 150 zł. więcej niż obliczyliśmy. Jeżeli naszemu fabrykantowi dano o 3 150 zł. więcej, to oczywiście dla tego, że w nich zawartą jest nowa wartość, której poprzednio nie było, a którą dołożyli robotnicy z własnej swej, nieopłaconej pracy.

Widzimy więc, 3 150 zł. dochodu powstały z nieopłaconej pracy, z nadwartości przez robotników dostarczonej. Robotnicy ci dostali od fabrykanta 2 025 zł. za tygodniową pracę. Przez ten tydzień jednak nie tylko odrobili swą własną płacę, ale dołożyli do bawełny 3 150 zł. nieopłaconej pracy. Na 2 025 złotych opłaconej dali więc oni 3 150 zł. fabrykantowi nieopłaconej pracy. Każdy z robot-

wartości, albo inaczej, tyle pracy ludzkiej, ile jej potrzeba na zrobienie 13 780 zł. (nie papierowych, ale srebrnych, złotych). Kiedy się mówi, że bawełna warta 13 780 zł., to tylko dla skrócenia.

ników dostaje więc dziennie 2 zł. 15 gr. i nie tylko oddaje je, powiększając wartość bawełny, ale dokłada jeszcze nowej wartości (nadwartości) 3 zł. 27 gr. Nieopłacona więc praca przeszło półtora razy dłużej trwa niż opłacona; robotnik półtora razy dłużej pracuje na dochód fabrykanta niż na siebie.

Nadwartość przeszło półtora razy jest większą od zapłaconej pracy, albo, jak to mówią inaczej, stopa nadwartości jest 1 i pół (albo 150 procent.)*)

Zdaje się, że teraz przekonałem was zupełnie, że nie wszystkie dochody z własnej pracy pochodzą. Widzieliśmy przynajmniej, że fabrykant ma dochód z cudzej, ale nie z własnej pracy.

— Tak, fabrykant — ale to jeszcze nie wszystko; są jeszcze majstrzy, obywatele ziemscy, urzędnicy, kupcy i t. d. i t. d. Co też ty nam o nich opowiesz?

— Powoli, a przyjdziemy do nich wszystkich. Zaczniemy od majstrów.

Wiecie o tem dobrze, że dziś całe warszawskie obuwie robi się w prywatnych warsztatach, w których majster roboty dogląda, czeladnicy zaś

*) Stopą nadwartości jest więc stosunek pomiędzy nieopłaconą a opłaconą pracą. Jeżeli robotnik 4 godziny pracuje na siebie i 8 na kapitalistę, to nieopłacona praca jest dwa razy większą od opłaconej, a stopa nadwartości jest 2 albo 200 proc., jeżeli 6 godzin pracuje na siebie, a 6 na kapitalistę, to stopa jest 1 albo 100 proc. i t. d.

pracują za zapłatę, a terminatorzy darmo. Że majster na terminatorskiej pracy zarabia, że z niej korzysta, to o tym chyba małe dzieci wiedzą. My tu chcemy mówić o „opłaconej“ robocie czeladnika.

Wicie, jak ciężką praca szewca. Na stołku zgarbiony czeladnik, w dusznej, ciemnej izdebce nieraz 15, 16 godzin pracować musi, żeby jako tako nadażyć i zarobić na utrzymanie. Płacą mu od sztuki — mniej więcej po 6 zł. od pary kamaszy. Jeżeli roboty nie braknie, to dobry czeladnik przez 15 godzin może zrobić 2 pary kamaszy — i zarobić ze swej pracy 12 zł. Zobaczmy teraz, skąd się bierze zarobek majstra.

Skóra, guma podeszwy na jedną parę kamaszy kosztują od 14 — do 17 zł., pomocnicze materiały (dratwa, szydła, ćwieki i t. d., i t. d.) — 20 gr.; mieszkanie, dajmy na to — 20 gr.*); płaca czeladnika — 6 złotych. Gdyby czeladnik dostawał za swoją pracę całą należność, to w parze kamaszy powinna być wartość materiału (skóra, guma, podeszwy), t. j. 17 zł., wartość materiałów pomocniczych — 20 gr., wartość mieszkania — 20 gr. i wartość roboty czeladnika — 6 zł. Razem powinnyby kamasze kosztować 24 zł. gr. 10. Tymczasem majster parę kamaszy sprzedaje mniej

*) Rozumie się, że mieszkanie kosztuje daleko więcej, może 60 zł., może 100 zł., ale też robi się w tym mieszkaniu nie jedna para butów, a 50, 100 i więcej par na miesiąc.

więcej za 33 zł. gr. 10, to jest o 9 złotych drożej.

Zkąd się wzięło tych 9 zł. nowej wartości? Oczywiście, że jej nie było ani w podeszwach, ani w ćwiekach, ani w mieszkaniu; oczywiście, że je dołożył i mógł dołożyć nikt inny jak tylko czeladnik.

Tak więc nasz czeladnik na 6 zł. opłaconej pracy dodał majstrowi 9 nieopłaconej, 9 złotych nadwartości, z której, rozumie się, korzysta tylko majster. Znowu więc nieopłacona praca półtora razy większa od opłaconej, znowu więc, jak to mówią, stopa nadwartości jest 1 i pół. Robotnik z 15 godziniennej swej pracy 6 godzin pracuje dla siebie, a 9 oddaje majstrowi, z bogaca go niemi.

Otóż macie i majstra — otóż widzicie, jak majstrowie otrzymują swe dochody. Czy z własnej pracy? Oczywiście rzecz, że nie. Tak samo jak i fabrykanci mogą mieć dochody, mogą z bogacać się tylko z cudzej pracy, tylko z pracy swych robotników i czeladników.

Widzicie teraz, jak można wierzyć podobnym ludziom, co jak autor książki „O własnej pomocy“ cuda opowiadają o tym, czego można się dorobić „własną pracą“; wiecie teraz, że kiedy kto opowiada, jak to fabrykanci, „własną pracą“ dorobili się majątku, to jest to tylko haniebne oszustwo.

VI.

Fabrykanci, majstrowie to jeszcze nie wszystko. A gdzie są kupcy, gdzie obywatele ziemscy, gdzie urzędnicy i t. d.?

Właśnie przechodzimy teraz do nich. I żeby sobie wytłomaczyć dokładnie, z kąd ich dochody powstają, z jakiej się oni pracy utrzymają, weźmiemy sobie przykład.

Przypuśćmy, że fabrykant jakiś włożył do swego przedsiębiorstwa milion złotych. Jakie to przedsiębiorstwo, dla nas wszystko jedno. Zresztą dajmy na to, że cukrowniane. Otóż fabrykant nasz nakupił maszyn, materiałów pomocniczych, buraków, najał robotników i po roku otrzymuje cukier, który jest wart 1 300 000 zł. Ma więc nasz fabrykant 300,000 zł. zysku ze swego miliona. Wiemy już, że te 300 000 zł. to nieopłacona praca robotników, albo nieopłacona nadwartość.

Fabrykant chętnie zatrzymałby cały ten zysk dla siebie. Chociaż go one nic nie kosztowały, zawsze jednak nieprzyjemna to rzecz rozstawać się z pieniędzmi.

Ale na wydartą robotnikom nadwartość czeka mnóstwo amatorów. Każdy chciałby coś zgrażyć, każdy chciałby choć kilka kropli krwi i robotniczego znoju zgarnąć do swojej kieszeni.

Pierwszy wyciąga swą rękę kupiec. Fabrykant bez kupca nic zrobić nie może. Wie on

dobrze, że póki jego towar leży w magazynach, póty z niego nie ma żadnej korzyści. Potrzeba naprzód sprzedać towar, zamienić na pieniądze i dopiero wtedy można powiedzieć, że interes skończony. Trzeba więc poszukać kupca, by sprzedać cukier.

Kupiec się zgłasza, podejmuje się albo kupić towar, albo znaleźć innego kupującego, gotów nawet pieniądze sam zaraz zapłacić, ale żąda za swoją przysługę zapłaty; żąda, żeby mu ustąpiono z cukru jakiś procent, rabat. Fabrykant nie może się nie zgodzić na to, ustępuje mu jakiś procent, rabat, przypuśćmy 50 000 złotych, to jest sprzedaje mu swój cukier nie za 1 300 000 ale za 1 250 000. Zysk więc fabrykanta zmniejszył się; część tego zysku przeszła do kupieckiej kieszeni, ale za to w kieszeni fabrykanta brzęczą teraz okrągłe pieniądze. Kupiec zarobił na tej operacji 50 000. W jaki sposób zdobył on ten zarobek? Czy z własnej pracy? Oczywiście, że nie. Jego zarobek był tylko częścią zysku fabrykanta, był więc częścią nieopłaconej pracy robotnika, nieopłaconej nadwartości. I kupiec więc swój dochód otrzymuje z cudzej pracy, z pracy robotników, zajętych w fabryce.

Po kupcu zbliża się obywatel ziemski. Nasz fabrykant wybudował swoją fabrykę na ziemi tego obywatela. Bo chociaż czasami fabrykant buduje fabrykę na swoich gruntach, ale często też na cudzych. Za wynajęcie placu pod

fabrykę właściciel tych gruntów żąda zapłaty — za najem żąda tak zwanej renty. Trudna rada, mówi nasz fabrykant do siebie, kiedy potrzeba płacić, to trzeba. I oddaje ze swego zysku 20 000 złotych renty właścicielowi ziemi.

Skąd powstają więc dochody właścicieli ziemi? Oczywiście, że także z zysku fabrykanta, a więc znowu z nieopłaconej pracy*) robotników fabrycznych.

Naszemu fabrykantowi pozostało już tylko 230 000 złotych zysku. Ale i teraz jeszcze nie może on wszystkich schować do kieszeni. Mówiliśmy o tym, że do fabryki swojej włożył on milion złotych. Ten milion złotych mógł być jego własny, ale mógł go on także pożyczyć. Wielu jest wszak takich bogatych ludzi, co nie chcą się zajmować żadnymi przedsiębiorstwami, a wolą swoje pieniądze pożyczać na procenty i co rok spokojnie zgarniać je do kieszeni. Otóż to właśnie u jednego z takich kapitalistów mógł nasz fabrykant pożyczyć pieniądze. Po roku, kiedy mu się udało — rozumie się dzięki nieopłaconej pracy — zebrać 1 300 000 zł., musi on zapłacić jakiś procent za pożyczanie miliona zł., z którym do interesu przystąpił. Dajmy na to, że kapitalista pożyczył mu pieniądze

*) Mówimy tu o takim właścicielu ziemi, który sam gospodarstwa nie prowadzi. Taki właściciel, który sam gospodarstwo prowadzi, utrzymuje się także z pracy robotników, ale swoich własnych, z pracy parobków, komorników, najemników, kosiarzy.

na 6 procent. Musi więc fabrykant oddać teraz 60 000 złotych ze swego zysku jako procent. Zostaje mu się tylko 170 000 zł., a kapitalista zagarnia 60 000 zł. Z czyjej kieszeni? Z kieszeni fabrykanta? Tak, ale to się tylko tak wydaje. Właściwie to i te 60 000 pochodzą od robotników, z ich nieopłaconej pracy.

Jak mówiliśmy, fabrykantowi zostało 170 000. Ale i tymi pieniędzmi nie zupełnie może się on cieszyć. Rząd chce także trochę dla siebie z tej grabieży. I rząd ma rację. Bo na cóż byłby rząd na świecie, gdyby nie było bogatych, którymi potrzeba się opiekować, biednych, których potrzeba uciskać! Wszak wojsko i policję trzyma rząd tylko po to, żeby biednych trzymać w uległości. Kiedy robotnicy schodzą się razem, umawiają się i żądają, żeby fabrykant podniósł płacę roboczą, to rząd zawsze wyszle wojsko, żandarmerję, by „niepokornych“ uśmierzyć. Kiedy fabrykanci dwóch krajów pokłócą się o to, którzy z nich mają posłać bawelnę do trzeciego kraju, to rząd z pewnością wyszle swe wojska na wojnę, by swoich fabrykantów obronić. A kiedy robotnicy w kraju się burzą, kiedy głośno zaczynają się domagać o swoje prawa i od fabrykantów i kupców sprawiedliwości żądać, to rząd gotów nawet wojnę wynaleźć namyślnie, żeby tylko „niespokojnych“ z kraju usunąć. Widzimy więc, że rząd ogromne usługi oddaje fabrykantom, bogaczom. A po co myślicie urządza on uniwersytety, po co upiększa miasta,

buduje teatry. Myślicie, że dla biednych? Nie! Biedny swoich dzieci posłać do szkoły nie może, do teatru nie chodzi. Wszystko to, policja i wojsko, teatry i ogrody, wszystko to istnieje dla bogatych, dla panów. Na to wszystko rząd, państwo potrzebuje bardzo dużo pieniędzy, dużo podatków. Ileż to samo wojsko zjada pieniędzy! A policja, a tysiące urzędników dużych, małych i maleńkich, a ministrowie, a cesarze, a królowie, królowe, królewiatka i djabli wiedzą nie co!

Najwięcej podatków opłacają biedacy, robotnicy sami. Ale trochę dają i fabrykanci i kapitaliści. Wszak dla rządu to się opłaci dać; rząd to wszak najlepszy ich sługa. I nasz fabrykant oddaje trochę ze swego zysku: 30 000 zł. — płaci podatku. Łatwo nam dojrzeć, że i ten podatek zapłacili robotnicy. Wszak fabrykant swego niema, a rozdaje tylko nieopłaconą robotniczą pracę.

Pozostaje naszemu fabrykantowi 140 000 zł. Z tych potrzeba dyrektorowi fabryki zapłacić rocznej tantjemy 5000 zł., opłacić w Towarzystwie Ubezpieczeń 10 000 zł., i rozmaitym innym pijawkom jeszcze 15 tysięcy. Pozostaje 120 tysięcy czystego zysku, z którymi można robić, co się tylko podoba. Cały świat będzie mówił, że te 120 tysięcy to jego „własność“, że nabył on je „własną pracą“.

To też nasz fabrykant za te 120 tysięcy zł. będzie umiał żyć! O! bo to oni nie obliczają, ile im potrzeba na podtrzymanie sił. Oni żyją tak,

jak im się podoba. Teatry, bale, szampańskie wino i karety, zbytki w domu, zbytki przy stole. Życie przecież można, bo w kieszeni brzęczy nieopłacona praca robotników. Nieopłacona praca pozwoli na wszystko. Z nieopłaconej pracy, z nadwartości życia będą służyć fabrykanta, jego utrzymanki i lokaje, doktorzy, którzy leczą jego pańskie zdrowie, i uczeni, którzy dowodzą, że nie ma lepszego świata nad ten świat, w którym tak łatwo „własną pracą“ się z bogacać.

A resztę pieniędzy, która mu pozostanie po zaspokojeniu wszystkich zbytkownych potrzeb, nasz fabrykant dołoży do swego miliona, by jeszcze więcej zagarnąć cudzej pracy, nadwartości.

VII.

Teraz zupełną będziemy mogli dać odpowiedź na pytanie, któreśmy sobie i w tytule i na początku swej książeczki położyli.

Kto z czego żyje? Czy z własnej, czy z cudzej pracy? Kto z czego się utrzymuje? Czy z własnych rąk, czy z cudzych?

Otóż moglibyśmy tutaj podzielić wszystkich ludzi na trzy rzędy.

Pierwszy rząd jest bardzo niewielki. Są to ludzie, co żyją albo utrzymują się z własnej pracy. Do tego rzędu zaliczmy wszystkich rzemieślników, co mają swoje narzędzia pracy i pracują sami,

oraz wszystkich włościan, którzy mają tyle ziemi, że praca koło niej może ich wyżywić.

Drugi rząd ludzi będzie największy. Są to robotnicy, którzy nie mają swoich narzędzi, i włościanie, co albo mają za mało ziemi, albo wcale jej nie mają i muszą sprzedawać siebie, swoją siłę roboczą. Do tego rzędu zaliczymy wszystkich terminatorów, czeladników, robotników fabrycznych, wyrobników, parobków, komorników i t. d.

A trzeci rząd to są ci, co mają narzędzia pracy, ale sami koło nich nie pracują, tylko każą pracować innym. Ci to żyją, utrzymują się i z bogacają z cudzej pracy, z zagrabionej od innych ludzi nadwartości. Są to fabrykanci, majstrowie, obywatele miejscy i wiejscy, kupcy, policja, wojsko, królowie, ministrowie i wielu urzędników.

A teraz pytam się was, czy słuszny to świat taki, czy słuszny to taki podział na bogatych próżniaków i pracujących nędzarzy? Słuszny czy nie?

Poznaliśmy już dobrze w pierwszej połowie naszej książeczki, jak nasz świat jest urządzony. Jest w nim niewielka stosunkowo garstka ludzi, która żyje, bawi się kosztem pracy całego ludu. Jak się to dzieć może? Dlaczego?

Dlatego, że ta masa ludu nie jest wolną, dlatego, że musi sprzedawać swoją siłę roboczą, sprzedawać siebie.

A dlaczego ta ogromna masa ludzi musi się sprzedawać?

Dlatego, że nie ma narzędzi pracy. Widzieliśmy, że tylko ten, kto nie ma własnych narzędzi pracy, sprzedawać się musi, bo inaczej umarłby z głodu.

Więc, jeżeli chcemy poprawić, polepszyć, zmienić terażniejsze porządki, jeżeli chcemy usunąć tę nędzę u jednych, te zbytki u drugich, cóż powinniśmy zrobić?

Oczywista rzecz — urządzić tak, żeby każdy miał swoje własne narzędzia pracy.

Wtedy każdy będzie pracował dla siebie. Nikt nie będzie pracował na innych, nikt nie będzie oddawał nadwartości ze swej pracy. Wtedy nikt też nie będzie kupował ludzi i ich siły roboczej; nikt nadwartości zabierać nie będzie; nikt nie będzie mógł z bogaczać się pracą drugich; nikt z pracy innych utrzymywać się nie będzie.

Urządzić tak, aby każdy miał swoje narzędzia pracy? Ale w jaki sposób urządzić, żeby każdy miał swoje narzędzia? W tym właśnie sęk. powiecie mi tutaj.

Jak urządzić? Ależ nic nie ma nad to prostszego! Odebrać narzędzia pracy od tych, którzy ich mają za dużo, i oddać je na użytek ludzi pracy.

— Odebrać! gwałtem!! Ale człowieku, zmiłujże się, jakto odebrać? Czy to można? czy się to uda? czy to moralne?

Czy to można? czy to się uda? czy to moralne? Otóż na te trzy pytania postaramy się tutaj odpowiedzieć.

I.

A naprzód, czy to można?

Czy można, żeby każdy robotnik, każdy człowiek miał swoje narzędzia pracy, czy nie?

Nie takie to proste pytanie, jakby się zdawać mogło. Z pierwszego razu to wydaje się nawet, że to rzecz wcale nie trudna. Wszak było już dawniej, że każdy prawie rzemieślnik miał swój własny warsztat, u siebie w domu był panem.

Było to dawniej, to prawda. Ale wtedy i ludzi na świecie było jeszcze mało. To samo miasto, które przed 200 laty miało 500 tysięcy mieszkańców, dziś ma 4 miliony (np. Londyn w Anglii); miasto, co przed stu laty miało 90 tysięcy mieszkańców, dziś ma ich 400 tysięcy (np. Warszawa^{*)}); w kraju, w którym przed 200, 300 laty mogło być dwa miliony, dziś będzie 10 i więcej milionów ludności; tam zatem, gdzie dawniej na wszystkich starczyło 100 tysięcy par butów, dziś potrzeba miliona, albo może i więcej, a w kraju, w którym dawniej milion łokci płótna

^{*)} Tyle mieszkańców Warszawa miała przed dwudziestu laty, kiedy pisana była ta książka. Teraz ma ona przeszło 700 tysięcy. Przyp. Wyd.

używano, dziś potrzeba dziesięć, dwadzieścia razy tyle.

Dawniej więc, za „dobrych, starych czasów“, jak to mówią — chociaż nie były one znów tak dobre, żeby ich żałować potrzeba — za dawnych czasów tkacz, który z żoną i z dziećmi przy warsztacie u siebie w domu pracował, albo ślusarz, który sam zamki robił, nie mógł robić ani dużo płótna, ani dużo zamków. Robili mało, bo było też mało potrzeba; tkacz robił swoje płutno na kiepskich krosienkach, ślusarz byle jakimi narzędziami swoje zamki wyrabiał.

Dziś tkacz musi koniecznie robić na maszynie. Ktoby chciał na krosienkach płótno utkać, to tak samo, jakby końmi chciał jechać tam, dokąd koleją dojechać można. Musiałby on stracić 100 razy, i więcej czasu na zrobienie tego, co przy pomocy maszyny zrobi w godzinę.*)

Dziś potrzeba dużo, bardzo dużo wyrobów. Dziś potrzeba ogromnych fabryk, potrzeba maszyn parowych, potrzeba ogromnych magazynów, żeby całą tę ilość potrzebnych wyrobów wytworzyć. Dziś na przykład w samej Anglii 450 087 robotników przędzie bawełnę na 33 miljonach wrzecion!

Oto gdyby każdy robotnik chciał mieć swój własny, osobny warsztat, gdyby każdemu oddano

*) Dziś np. w Anglii przerabiają w jeden dzień więcej bawełny, niż przed 150 laty przerabiano w trzy lata. Co prawda, robotników wówczas było znacznie mniej.

po wrzecionie, gdyby z każdego z nich robotnika samodzielnego zrobiono, toż przecież wszyscy nie podolaliby swej pracy i nie zrobiliby nawet dwudziestej części tego, co teraz robią. W całym świecie zabrakłoby wszędzie bawełnianych wyrobów, i nasze gosposie gorzko by się skarżyły na te nowe porządki.

Widzicie więc, że nie tak to łatwo i nie zawsze to można, żeby każdy dla siebie miał osobny warsztat, osobne narzędzia pracy. Nie byłoby wyzyskiwania — to prawda, ale za to wszędzie byłby niedostatek najpotrzebniejszych towarów, nędza, a nawet głód.

Tak! głód. I zaraz się o tym przekonacie. Dziś, w Anglii na przykład, prawie że nie ma robotników, którzyby mieli swoje własne narzędzia pracy. Włościan zaś, którzyby uprawiali własne kawałki ziemi, jest bardzo niewielu. Już więcej jest włościan dzierżawców. Cała zaś gospodarka jest w rękach wielkich panów, którzy mają wielkie przestrzenie gruntu, parowe pługi, parowe żniwiarki, młockarnie i najmują robotników wiejskich do uprawiania swych pól. Robotnicy zaś wiejscy nie mają nic: ani pola, ani ogrodu, ani narzędzi pracy, ani nawet chaty własnej; muszą więc sprzedawać się w niewolę panom i oddawać im swoją pracę dodatkową, daremną.

Jest więc tym robotnikom źle, bardzo źle. Jeżeli czytać w książkach opisy nędzy tych robotników wiejskich w Anglii, to dreszcze przechodzą

ze zgrozy i oburzenia na okrucieństwo i chciwość angielskich panów.

No! ale czyż wy myślicie, że dobrze by było, gdyby każdemu z nich oddano osobny kawałek gruntu? Czy wygrałby wiele na tym cały lud angielski? Wcale nie. 1875 roku Anglia potrzebowała rocznie 22 mil. kwarterów (kwarter to 300 kwart) zboża. Ale na angielskiej ziemi rodzi się tylko 13 milionów, tak że 9 milionów potrzeba przywozić z zagranicy. Gdyby teraz grunt podzielono na małe kawałki, na którychby nie można było używać ani parowych pługów, ani żniwiarek, ani kosiarek, toby nie tylko 13, ale 5, 6 milionów nie wytworzono. Anglja musiałaby chyba z głodu umierać.

Więc widzicie, że niezupełnie by było dobrze, jeśli by każdy miał swoje własne narzędzia pracy!

Więc, jakżeż będzie? Nie mieć swoich własnych narzędzi pracy — to źle, bo potrzeba sprzedawać swoją siłę roboczą, sprzedawać siebie, z bogacać innych; mieć swoje własne narzędzia pracy — znowu źle, bo będzie nędza, głód. Więc cóż nareszcie zrobić, gdzie tu znaleźć radę?

Rada jest i znakomita. Dlaczego by nie zrobić tak jak jest dotychczas? Gdzie robotnicy pracują razem w wielkich fabrykach i na wielkich kawałkach ziemi, niech pracują i nadal razem, wspólnie. Ale niech nie pojedyncze narzędzia, pojedyncze wrzeciona, nie kawałki, ale całe fabryki należą do robotników, i to nie do

jednego, ale do wszystkich. Niech wszystkie fabryki i cała ziemia należą do wszystkich robotników, niech będą ich wspólną własnością. Niech robotnicy pracują razem, ale nie na fabrykanta, tylko na siebie. Wtedy będzie wszystko załatwione, wtedy wyrabiano by nie mniej, jak teraz. Owszem, wyrabiano by daleko więcej. Każdy będzie wiedział, że nie pracuje na jednego pasibrzucha, ale pracuje na wszystkich, że pracuje na swoich towarzyszy i że ci w zamian pracują na niego. Będzie on teraz dobrze wiedział, że jeżeli będzie pracował dłużej w fabryce, niż potrzeba, to nadwartość (dodatkowa wartość, dodatkowa praca) będzie szła na wszystkich, nie pójdzie na zbytki garstki ludzi, ale poprawi los wszystkich.

Tak więc tylko **wspólna własność fabryk i ziemi** może ocalić robotników.

II.

A teraz zapytamy, czy się to uda? Czy można mieć jakiegokolwiek nadzieje na to, żeby wspólna własność fabryki i ziemi ziściła się kiedykolwiek na prawdę? Czy to naprawdę możliwa rzecz, żeby każdy o sobie mógł powiedzieć, że sam jest dla siebie panem.

Przecież biedni i bogaci byli od najdawniejszych czasów. Przecież od najdawniejszych czasów zawsze i wszędzie była masa ludzi, których gnę-

biono, i garstka, która gnębiła innych. Przecież od najdawniejszych czasów znajdowali się ludzie, którzy wiedzieli, że ten porządek niesłuszny, niesprawiedliwy; a jednak nic to nie pomogło: zawsze biednym było źle, zawsze bogatym było dobrze.

A czy nie widzimy teraz, że biedaków coraz więcej na świecie? czy nie widzimy, że nędza rozwielmożniła się teraz straszliwie we wszystkich krajach, a zbytek i swawola próżniaków mnożą się wszędzie niesłychanie.

Wszystko to prawda, najistotniejsza prawda, ale to wszystko nie może nam odbierać otuchy; owszem właśnie z tego widzieć możemy, że koniec dzisiejszego porządku bardzo niedaleki. Zaraz to sobie wyjaśnimy.

Istotnie, coraz więcej biedaków, co nic własnego nie mają i, trudna rada, coraz więcej być musi. Nie poradzi na to nikt. Rzemieślnik, kiedy posyła swoje towary na rynek, chciałby dostać za nie jak najwięcej. Nic w tym dziwnego, wszak dołożył do nich tyle pracy, ile mógł. Ale cóż z tej pracy? Fabrykant, który te same wyroby robi w swej fabryce, tyle pracy nie potrzebuje. Jeżeli, dajmy na to, zamek kosztuje ślusarza trzy godziny pracy, to w fabryce ta sama robota zajmie tylko dwie godziny czasu. Ślusarz będzie chciał za swój zamek 3 zł. (jeżeli godzina pracy tyle warta, ile złotówka), ale fabrykant sprzeda go za 2 zł. Rozumie się, że nikt nie kupi zamku u ślusarza, a ślusarz, który towarów swoich sprzedawać nie

będzie, zostanie zmuszony zwinąć warsztat i pójść sprzedawać swoją siłę roboczą do fabryki.

To samo, co o ślusarzach, da się i o wszystkich rzemieślnikach powiedzieć. Z maszyną, z fabryką nie mogą oni iść w zawody, i prędzej czy później muszą się oni stać robotnikami. Coraz więcej robotników tracić musi swoją wolność i wystawiać swoją siłę roboczą na sprzedaż.

Gdyby chociaż robotnicy mieli zawsze stałą zapłatę, żeby chociaż mogli na tę zapłatę liczyć, to jeszcze możnaby znosić to nowe położenie. Ale gdzież tam! Dzieje się właśnie zupełnie inaczej. Zapłata robotnika zniża się ciągle i ciągle musi się zniżać, za to zysk i dochody fabrykanta coraz są większe. Postarajmy się to sobie wytłomaczyć.

Przypomnijmy sobie, z kąd powstaje zysk fabrykanta. Ztąd, że robotnik oddaje mu swoją dodatkową pracę, że część dnia pracuje na siebie, na swoje wyżywienie, a resztę dnia oddaje za darmo.

Jeżeli na przykład fabrykant ma 20 robotników u siebie, i płaci im po 6 zł. dziennie, to płaci on im dlatego 6 zł., że tyle potrzeba na ich wyżywienie (pokarm, odzież, mieszkanie). Ale robotnicy po 6 godzinach pracy odrabiają już te 6 zł., a resztę dnia (drugą połowę) pracują darmo i dają tym sposobem fabrykantowi darmo 6 zł. nowej wartości co dzień. A że ich jest 20 i że pracują, przypuśćmy, 333 dni w roku, więc przynoszą

fabrykantowi zysku 20 razy po 6, pomnożone przez 333, t. j. około 40 000 zł. rocznie. Oczywiście rzecz, że im więcej robotnicy oddają swej pracy, tym większy będzie zysk fabrykanta; jeżeliby zamiast 6 godzin dziennie oddawali mu 8, to zysk byłby nie 40 000, ale 52 800 zł.

Otóż istotnie dzieje się tak, że robotnicy muszą oddawać coraz więcej pracy fabrykantom.

Jakto coraz więcej?

A tak! Dlaczego nasz robotnik dostaje 6 zł. dziennej płacy? Dlatego, że tyle potrzeba na jego wyżywienie, t. j. dlatego, że potrzeba 6 godzin pracy, żeby otrzymać wartość pokarmu, odzieży, mieszkania, by utrzymać robotnika przy życiu i i możliwości pracowania, innymi słowy dlatego, że zwykłe wyżywienie robotnika warte 6 godzin pracy. Resztę, t. j. 6 godzin, bierze fabrykant albo majster.

Jeżeliby mogło stać się tak, że na wyżywienie robotnika potrzeba będzie nie 6, ale 4 godziny, to robotnik dostanie tylko 4 zł.; na siebie zatem pracować będzie tylko 4 godziny, a 8 godzin nadwartości będzie oddawał.

I istotnie tak się dzieje. Ponieważ teraz maszyny wszędzie wchodzą w użycie, a maszyny znowu zmniejszają pracę przy wyrabianiu towarów, to coraz mniej potrzeba pracy, żeby zrobić te wszystkie przedmioty, których robotnik potrzebuje. Dawniej koszula robotnika kosztowała 2, 3 dni pracy, dziś kosztuje ona dzień; dawniej surdut

mógł kosztować 10 dni pracy, dziś kosztuje 3 dni. Robotnik więc już nie potrzebuje na swoje własne utrzymanie tak długo pracować, jak dawniej. Dawniej musiał pracować 8, dziś mu dosyć 6-ciu godzin. Ale cóż z tego za korzyść dla robotnika? Dawniej z dwunastu godzin dziennej pracy 6 brał dla siebie, 6 zaś oddawał za darmo; dziś dla niego dosyć czterech, więc pozostaje dla fabrykanta 8 godzin. Te dwie godziny, które robotnik na pracy oszczędził, nie przydadzą mu się na nic, bo idą na powiększenie dochodu jego pana. Dawniej 6 godzin trwała praca potrzebna dla niego, 6 godzin znowu zajmowało wytworzenie nadwartości, a stopa nadwartości (t. j. stosunek nieopłaconej pracy do opłaconej) była równą 1 (lub sto procent); dziś potrzebna dla robotnika praca trwa 4 godziny, nadwartość zaś zajmuje 8 godzin, a stopa nadwartości jest dwa (albo 200 procent).

Wiemy dalej, że do wszystkich rzemiosł, do wszystkich zajęć, przy których wyrabiają się przedmioty potrzebne robotnikowi, coraz więcej wprowadzają nowych maszyn. To też musi się zmniejszać bezustannie czas potrzebny robotnikowi na jego utrzymanie, a wskutek tego powiększać się musi ciągle czas, który robotnik oddaje fabrykantowi. Stopa nadwartości musi zwiększać się ciągle.

Widzimy więc teraz, dlaczego robotnicy muszą się stawać coraz biedniejsi, a fabrykanci coraz bogatsi.

— Ładna to dla nas pociecha, odpowiedcie mi. Jeżeli tak być musi ciągle, to skądżeż mamy mieć nadzieję, że się rzeczy kiedykolwiek odmienia?

— Odpowiem wam na to przysłowiem: nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. I w tym ciągłym wzroście stopy nadwartości jest dużo dobrego. Naprzód dobrym jest to, że coraz mniej pracy kosztuje utrzymanie robotnika. Teraz kiedy całą pracę oddaje się panu, to nie wielka z tego pociecha, ale później, to się to zmniejszenie koniecznej pracy bardzo przydać może.

A potem, pomówić tu musimy jeszcze o jednej rzeczy, o której nie wspomnieliśmy dotychczas.

Czy wy myślicie, że to wszyscy fabrykanci z bogacają się z cudzej pracy? Gdzie tam! wszyscy z bogacić się nie mogą, bo jeden stara się zrujnować drugiego. Jeden wyrabia ile tylko może towarów, np. perkalików na sprzedaż, drugi posyła ich więcej, trzeci jeszcze więcej, a każdy musi sprzedawać je taniej od drugiego. Nareszcie posyłają towaru tyle, że się kupców na te perkaliki nie znajdzie, i fabrykanci bankrutują. Tylko bogaci mogą dalej zostać i prowadzić fabrykację, a mniej bogatsi rujnują się do szczytu i rujnują tysiące robotników, którzy u nich pracowali. I to się powtarza co kilka lat. Co kilka lat musi ginąć mnóstwo mniejszych fabrykantów, a z bogacać się kilku większych; co kilka lat ogromną masę robotników wyrzucają na bruk.

— No więc cóż z tego?

— Bardzo wiele. — Fabrykantów i bogaczy jest coraz mniej, robotników biedaków coraz więcej; bogactwa dostają się do rąk coraz to mniejszej garstki ludzi — nędza zaś ogarnia coraz większe masy.

Robotnicy widzą, że fabrykantów coraz mniej, że chociaż bogactwa ich wzrastają, ale liczba ich się zmniejsza, że zatem co fabrykanci wygrywają na majątku, to na sile tracą.

Ci zaś robotnicy, co w fabryce pozostają, uczą się wspólnej pracy, widzą własnymi oczyma, jak to dobrze, kiedy się razem pracuje, porządnie, zgodnie, ile się na tym wygrywa czasu i o ile lepsze bywają wyroby. Widzą też własnymi oczyma, jak to jest źle, kiedy te wszystkie narzędzia pracy należą do jednego właściciela, który nie tylko że nie pracuje, ale często nawet na fabrykacji się nie zna, a nawet nieraz nie widzi fabryki.

Przytem uczą się w fabryce robotnicy — solidarności. Widzą wszyscy, że są braćmi, że wszyscy mają jednego wroga, który ich wyzyskuje, i rozumieją, że, żeby tego wroga zwalczyć, trzeba się łączyć po bratersku ze sobą, pomagać sobie wzajemnie.

Naturalna więc, że może w głowie niejednego robotnika powstać myśl: A po co też naprawdę my pracujemy na jednego? Nas jest tylu — on jest jeden, my pracujemy — a on nas zdziera;

my byśmy prowadzili fabrykację porządnie, uczciwie, nam nie chodziłoby o zysk, o żdzierstwo, ale o utrzymanie tylko. My byśmy pracowali z korzyścią dla wszystkich — fabrykant pracuje na swoją korzyść, a na wszystkich szkodę. Dlaczegożby się nie zmówić wszystkim robotnikom, dlaczego by nie odebrać fabryk i ziemi od wszystkich panów?

III.

Odebrać? Ale czy to będzie słuszne, czy to będzie sprawiedliwe, zapytacie.

Odpowiem wam na to, że nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa. Nie po to są ludzie, żeby coraz więcej robić towarów, ale towary po to, żeby coraz więcej ludzi mogło z nich korzystać. Robotnicy wytwarzają towary, oni też z nich muszą korzystać, a do tego potrzeba im narzędzi pracy od fabrykanta.

A kiedy wam kto powie, że własność to święta, że zabierać się nie godzi, nie wolno, to macie jedną krótką, ale dobrą odpowiedź: A wam wolno było setki lat, co dzień, co godzina nas okradać, krew i pot z nas wysysać? Zabieramy co nasze. Fabryki wybudowaliśmy własnymi rękami, ziemię uprawialiśmy sami; wszystko to z naszych rąk powstało, więc do nas teraz należeć powinno. Dłużej naszą pracą innych zбоgacać nie chcemy!

IV.

A teraz pozostaje jedno, najważniejsze pytanie.

W jaki sposób odebrać tę fabryki i tę ziemię i jak tego dokonać?

— To już wasza sprawa. Nad tym wy radzić powinniście.

Kiedy dawniej szło o to, żeby wyzwolić z niewoli ojczyznę, kiedy szło o to, żeby wroga z kraju wypędzić, wtedy proszono was, robotnicy, o pomoc, i wtedy mogliście się zapytać: „Oswobodzić ojczyznę, wypędzić wroga. Dobrze, ale jak?”

Dziś — idzie tu o waszą własną sprawę, o sprawę waszych rodzin, waszych braci, a własną sprawę samemu trzeba umieć załatwić.

Pamiętajcie jednak zawsze, że tylko przy wspólnym posiadaniu narzędzi pracy ludzie mogą być szczęśliwi.

A gdyby stu ludzi i sto książek takich, jak „Pomoc własna“, mówili wam, że jeden człowiek własnym wysiłkiem zdobędzie sobie wszystko, nie wierzcie im.

Tylko razem działając, robotnicy sobie szczęście zdobyć mogą.



WYDAWNICTWA SOCJALDEMOKRACJI KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY.

Biblioteka Socjaldemokratyczna.

1. R. Kruszyńska: Święto pierwszego maja,
wyd. drugie 25 ctm. — 20 fen.
 2. Maciej Róża: Niepodległa Polska a sprawa
robotnicza 50 ctm. — 40 fen.
 3. Ze wspomnień marcowych 25 ctm. — 20 fen.
 4. Z Wielkiej Francuskiej Rewolucji . . . 15 ctm. — 10 fen.
 5. Pieśni proletariatu 40 ctm. — 30 fen.
 6. Szymon Diokstejn: Kto z czego żyje? . . 40 ctm. — 30 fen.
- K. Kautsky: Rzeź w Kiszyniowie i kwestja
żydowska 15 ctm. — 10 fen.
- Quousque tandem? W sprawie etycznej socja-
lizmu polskiego 15 ctm. — 10 fen.
- Przegląd Robotniczy Nr. 1, 2—3, 4 (wyczerpane).
- Przegląd Socjaldemokratyczny, rok I, Nr. 1, 2, 3, 4—5,
razem 2 fr. 25 ctm. — 1 m. 80 fen.

Przegląd Socjaldemokratyczny

wychodzi raz na miesiąc w objętości 2—3 arkuszy.

Prenumerata roczna 6 fr. — 4 m. 80 fen.

Czerwony Sztandar

Pismo agitacyjne.

Cena numeru 25 ctm. — 20 fen.

Adres ekspedycji:

Stanisław Gutt, Winkelriedstr. 15^{II} — Zürich.